Nr. 3. Kraków, 15 Czerwca 1891 r. Rok I.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 70 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie, we Lwowie zaś: Skład główny w księgarni Seyfartha i Czajkowskiego. —

OD REDAKCYI.

Dla pobudzenia ruchu piśmienniczego wśród naszych pań, a tem samem ułatwienia im sposobu zabierania głosu w piekących sprawach społecznej i towarzyskiej natury — postanowiła redakcya *„Myśli“* rozpisać kwestyonaryusze na dwa tematy: „W jakim kierunku winny się kształcić nasze panny“ i „Dlaczego dzisiejsze małżeństwa należą przeważnie do rzędu konwencyonalnych“. — Mamy nadzieję, że, poświęcając w naszem piśmie miejsce tego rodzaju zagadnieniom chwili bieżącej, przyczynimy się, choć w małej części, do wszechstronniejszego ich oświetlenia, i w ten sposób staniemy na stanowisku zagranicznych czasopism, gdzie drogą takich kwestyonaryuszy wyłoniła się niejedna szczęśliwa myśl.

---

*
* *

„Inteligentny filister“ galicyjski, (o ile dwa te pojęcia połączyć się dadzą ze sobą), uważa za obowiązek wiedzieć o tem, co się na świecie, poza polityką wielką i małą, dzieje, a zatem, co porabia nauka, która mu imponuje tytułami, i co porabia sztuka, którą tolerować należy. Ponieważ jednak zatapianie się w księgach i książkach zabiera wiele czasu, a nadto należy do zajęć często zbyt nużących i nudzących, a rzadko dotykalnie korzystnych: więc też inteligentny filister galicyjski o tem, co porabia nauka i co porabia sztuka, dowiaduje się z gazet codziennych, w których naturalnie dają mu zwykle krótkie tylko notatki, w dziennikach bowiem naszych o politycznym wyłącznie zakroju, innych dać nie mogą. Za granicą, u nas zaś w Królestwie, wychodzą tygodniki, dwutygodniki i miesięczniki, pisma niepolityczne, zajmujące się specyalnie ruchem naukowym i literackim, i te ogółowi żądnemu wiedzy, a nie mającemu czy czasu, czy środków do samodzielnych studyów, dają obraz ruchu umysłowego na świecie; nasz galicyjski inteligentny filister pism takich nie potrzebuje, on ich poprostu nie chce. Dowód na to bardzo łatwy: gdyby ich potrzebował, gdyby ich chciał, miałby je — ludzi gotowych do pracy w tym kierunku nie zbrakłoby z pewnością. W całej Galicyi, liczącej przeszło 6 milionów mieszkańców, nie wychodzi ani jeden tygodnik, jeden dwutygodnik i kilka miesięczników — straszliwie mało! Przypatrzmy się teraz owym wydawnictwom: jeden tylko, a zarazem jedyny dwutygodnik *„Świat“* i jeden tylko miesięcznik *„Przewodnik naukowy“* nie są zabarwione białą, czy czerwoną barwą stronnictwa, reszta, to działa grubszego kalibru, puszczające wielkie bomby i granaty, w ślad za codziennym, rotowym ogniem piechoty. A tu dodać należy, że nasz przeciętny galicyjski filister byłby przez otoczenie swe palcami wytykany, gdyby nie stanął w szeregu po prawicy, lub po lewicy. Wyrazu pewnych zasad każą mu jego mistrzowie szukać zawsze i wszędzie i według tego sądzić o rzeczy, tymczasem, poza walką przekonań, jest jeszcze cały wielki świat, piękniejszy, czystszy, trwalszy, a nadewszystko, nam do oddechu, do życia nietylko potrzebny, ale niezbędny. W partyjnej walce wyrabiają się ludzie na wewnątrz, ale nam trzeba nietylko wewnętrznem istnieć życiem, my, których spychają między umarłych, musimy tem potężniej rzucać spychającym w twarz, żeśmy jeszcze nie zginęli, my musimy poprostu udowadniać światu, że mamy w sobie to, co daje prawo istnienia, to jest siłę i wolę.

Naród, któremu na żadnem polu działać nie wolno, z wyjątkiem pola umysłowego, niechże duszą i sercem pracuje na tym jedynym zagonie, jaki mu jeszcze pozostał; naród, który walczyć musi o byt z hordą barbarzyńców i z nieprzyjacielem, niosącym sztandar najwyższej kultury, niechże światłem rozprasza ciemności i światłem światło odpiera.

Inteligentny galicyjski filister powinien wiedzieć (p o w i n i e n, dotychczasowem bowiem postępowaniem nie przekonał chyba nikogo, że wie), że na barkach jego spoczywa wielkie zadanie, które wraz z innymi członkami społeczeństwa dźwigać musi, a przynajmniej znów — powinien. Zadanie to, to walka z obcym nam, mocnym, wytrwałym, nieprzyjaznym żywiołem, który dziś oprócz mnóstwa znacznych przewag, ma jeszcze i tę jednę z największych, że jest od nas więcej wogóle wykształcony. Aby mu opór stawić, aby germanizacyi, która pozornie nie daje się w naszej prowincyi uczuć, a naprawdę tak straszne robi postępy, nie ulec: trzeba przedewszystkiem lud uświadomić, dać mu poczucie własnego „ja“, własnej godności i własnych obowiązków. Jestto zadanie wcale nie łatwe: ludu owego, po miastach, miasteczkach i wioskach jest kilka milionów, i nauczycieli doń trzebaby conajmniej kilkadziesiąt tysięcy. Pozyskanie tej liczby nie jest bynajmniej niemożliwem, jest nawet bardzo łatwem, nie chodzi tu o nauczycieli fachowych, nauczycielem takim może być każdy, kto tylko ma sposobność zetknięcia się z niższemi warstwami społeczeństwa. Jest tu koniecznym jeden tylko, prócz dobrej woli, warunek, a tym jest własne wykształcenie. U nas w Galicyi ludzi prawdziwie wykształconych nieledwie na palcach wyliczyć by można, ludzi zaś mających prawo do zdawkowego tytułu: „wykształcony człowiek“, znalazłoby się także niezbyt wielu. Aby być człowiekiem wykształconym, nie dość jest być budowniczym, lekarzem, czy adwokatem i t. d. — trzeba, prócz fachowych wiadomości mieć europejskiej cywilizacyi oświatę, trzeba wiele, wiele czytać. Nie rzadko spotkać u nas można człowieka, który Sofoklesa umie prawie na pamięć, lub cały kodeks karny

nosi w głowie od *a* do *z* ze wszystkimi przypiskami, a o takiem mnóstwie palących kwestyj, lub ciekawych rzeczy pojęcia nie ma, że mimo całej jego fachowej uczoności, wykształconym nazwać go nie można. Gorzej, jeśli do takiego stanu umysłowego, do tej ignorancyi, dołącza się jeszcze poprostu cały ogrom barbarzyńskich uprzedzeń, przesądów, odziedziczonych, czy nabytych, które tak często u nas wprost uniemożliwiają działanie, spożytkowanie ludzi, lub wykorzenienie złego.

Nasz inteligentny filister galicyjski, jeżeli przyzna, że na barkach jego spoczywa zadanie walczenia w ogóle z żywiołem nieprzyjaznym, walczenia samodzielnie, walczenia przez dobry wpływ na niższe warstwy — połowa zwycięstwa; jeżeli przyzna, że mu do tytułu naprawdę cywilizowanego człowieka dosyć jeszcze daleko i że o zasłużenie na ów tytuł starać się będzie — druga połowa zwycięstwa. Tylko niestety! jeśli pierwsza wątpliwa, to druga jeszcze wątpliwsza...

A teraz zobaczmy, ile to ludności galicyjskiej czeka na najpierwszy krok cywilizacyi? Oto ni mniej, ni więcej, tylko prawie 80% mieszkańców Galicyi nie umie ani czytać, ani pisać; nadzwyczajną tę sztukę na 6,607.816 ludzi posiada tu tylko 1,339.122! Jestto zaiste przerażające! Prowincye polskie, którym wyrywają poprostu język ojczysty, mogłyby mieć zupełnie uprawniony żal do galicyjskiej inteligencyi, która zajęta zawsze zbyt walką stronniczą, mało dba o prawdziwe ucywilizowanie i podniesienie masy narodu, przez co wobec pobratymczych nam plemion, sprawia wrażenie, jak gdyby wegetowała, a nie żyła, nie daje bowiem potężnych objawów żywotności własnej.

Wiele jeszcze w tej kwestyi dałoby się powiedzieć; miejscem ograniczeni dodamy tylko, że, zdaniem naszem, oświecać w Galicyi trzeba nietylko warstwy najniższe. W kamienicach, pałacach, czy dworach, znajdą się u nas ludzie nie mniej ciemni, jak w suterenach, chatach, czy lepiankach, tylko ciemni inaczej. I może nie wszystkim wyda się to paradoksem, gdy odezwiemy się głośno, że według nas, oprócz towarzystwa oświaty ludu — powinno istnieć, nie mniej, jeśli nie więcej nawet od tamtego potrzebne, towarzystwo oświaty galicyjskiej tak zwanej inteligencyi, czyli całego tłumu filistrów.

KONSTYTUCYA 3 MAJA
w świetle poezyi.

(Ciąg dalszy).

Autor wiersza: „Nad nową konstytucyą" podpisany literami R. H., posługując się jeszcze staremi narzędziami poetyki klasycznej, ciska piorunami Jowisza „na tyranów Polski, chciwych krwi ludzkiej obżerców" przedstawia jak stare przemocy bożyszcza (bezprawie i niezgoda) zwalone leżą u stóp natury pokrzywdzonej, jak uderzona w łeb poczwara ślepego przesądu, ubita pada pod tron ludzkości, opromieniony sprawiedliwości światłem".

„Myśli radosne Ukraińca z przyczyny nowej konstytucyi dnia 3 Maja 1791 r. zapadłej i z odebranych o niej wiadomości", rozpoczynają się wierszem, głoszącym już dokonaną równość wszystkich spraw społecznych, kończą zaś temi pełnemi zaszczytu słowy: „O święte ludzkości prawa jakiegożeście cudu dokazały, złączyłyście serca całego narodu. Niech milknie duma, niech się w najskrytsze przepaści kryje zazdrość, przeciwna chwale naszej bo głos powszechny, głos całego narodu węzłem wspólnej miłości spojonego (o uwielbienia i wiecznej chwały godni prawodawcy) uszczęśliwionego zewnętrznie i oswobodzonego z obcej przemocy, zewnętrznie, opiewać wiecznie będzie pochwały wasze".

Do głosów powszechnego uwielbienia przyłączył swe uczucia kanonik infiancki Placyd Daszkiewicz, w wierszowanym do połowy utworze p. t. P o l a k w m a j u. Ciesząc się zbiegłemi w tym roku dwiema wiosnami, przeprowadza poeta przydłuższe między obiema porównanie. Widok wyzwolonej z więzów zimowych natury, łącząc się z obrazem rozkutej z niewoli ojczyzny pali radością serce poety. Oby tylko woła strwożony „tak twojej naturo, jak naszej swobodzie wichry północne szkodzić nie miały!...

Z wiosną wolności w ojczystem gnieździe odrodzony naród — leci, jak młode orle śmiałym po przestworze lotem. Niestety ptaszniki okoliczne pozostawiły już owe zdradne sidła, grożąc mu więzieniem. „Boże! woła poeta — jeżeli nas czeka nowe niewoli jarzmo, to lepiej, weź sam już życie!..." Lecz w górę czoła, patrz oto stokroć serc zgodnych pracuje na sejmie, stokroć rąk zbrojnych stoi w polu gotowych do walki z nieprzyjacielem stokroć szczęśliwa ojczyzna podźwigniona!

W. T. prawdopodobnie W. Turski, składając hymn na cześć starganych więzów woła:

Dopuść nam Boże wprzód głowy położyć,
Niźli powrotu dawnej hańby dożyć!

Jest to drugi głos polski z tego czasu przenoszący śmierć bohaterską nad sromotną niewolę...

„Hejnał na dzień trzeci Maja", układany na modłę klasyczną na strofy, antystrofy i epody, sili się na oddanie radości i szczęścia, opromieniających ziemię polską całusami swobody i miłości. Myśl poety cofa się w czasy ciemnoty i upadku, w odmęt nierządu, kiedy to orzeł polski zaślepiony ufnością, wpadł przez zdradę w obce myśliwych sieci, a sprawiedliwość, widząc niknącą moc prawa, ginące wsi i miasta opuszczone, odwróciła swe oblicze od Polski. Z tych więzów poniżenia zrywa się teraz duch narodu, spada mu z oczu przesądów pomroka, a pod skrzydłami powracającej na ziemię sprawiedliwości, znajduje opiekę dzieło braterskiej miłości i światła.

Poeta bije czołem przed dźwigającym ciężar cierniowej korony królem, którego obca przemoc oddzieliła od narodu, a którego dzień ten pogodził z narodem jak ojca z dziećmi.

Do tego mniej więcej czasu odnieść należy także „Pieśń kościelną narodową" (wydaną bezimiennie) owianą temi samemi uczuciami. Wśród powszechnej i w trójnasób spotęgowanej twórczości dziatwy Apollina, nie pozostali w tyle laureaci.

Do hymnów takich poetów, jak sentymentalny kochanek Justyny, lub gładki, dowcipny biskup Warmiński przyłącza głos swój i stary dworak St. Trembecki. Pod przybranem imieniem Józefa Bielawskiego opiewa on sejm wieczyście słynny, któremu później w liście do posłów powracających z Grodna 1793 r. przypisywał podział Polski, a o którym teraz wierszu, Bielawski „do anonyma" pisze, że „nagłością dziwiąc nasze przeciwniki, skruszył pęta, skarb zwiększył, bitne stworzył szyki". W drugim zaś wierszu przez J. Bielawskiego, w niekłamanej radości z podniesienia i wzrostu Polski, radby zaszczepić w każdym Polaku iskrę tej wielkości, a przedewszystkiem rozciągnąć prawa ludzkości także i na stan włościański:

„Mieszkańcy smutnych wiosek, jakże mię to boli,
Że was słyszę pod zębem jęczących niewoli.
Słuszność mówi za wami, ale przemoc grodów
Wydarła z swych ksiąg prawo Boskie i narodów.
Nie mogę tylko płakać nad waszym wyrokiem
Póki na Was łaskawszym nie rzuci sejm okiem.
Co ludzkości i chwały pełne panowanie,
Uwieńczy to tak święte kościoła żądanie".

Nawiasem wspominam tu o satyrze Trembeckiego p. n. „S e n c z y l i s ą d", a napisanej prozą w sprawie pogo-

dzenia sporu literackiego między M. Wolskim a Fr. Dmochowskim, z powodu napaści na konstytucyę 3 Maja. Na wypróbowanie konstytucyi nie było w Rzeczypospolitej czasu, ale ten, którym jeszcze rozporządzano obrócono na wspaniały obchód aktu żyjącego w sercach milionów. Pierwsza rocznica dała ku temu sposobność. Byłato ostatnia chwila radości, oświetlona łuną gorejącego już wulkanu. To też na dzień 3 Maja 1792 r. przypada może najwięcej i najpiękniejszych utworów poetycznych.

Pierwszeństwo należy się księciu poetów polskich. „Hymn na rocznicę 3 Maja“ ułożony przez Ignacego Krasickiego, składa na ofiarę stargane pęta, ale prosi o ducha siły, o podległość rządną i stałość w działaniu.

Do tej trafnej charakterystyki niezaspokojonych potrzeb narodu, dodaje prośbę o wspólne przy wielkim stole natury uczestnictwo wszystkich stanów. Tempem bardzo powolnego atdagia rozpoczyna się „Pieśń na trzeci Maja“ poświęcona cudownemu dziełu konstytucyi, która postawiła dogorywającą Polskę w rzędzie pierwszych narodów.

W wierszu „Na dzień trzeci Maja roku 1791“, wielbi ją poeta za to, że skołatanej nawie rzeczypospolitej przyniósł oliwną gałązkę życia, że swym dzieciom nadała przywilej równości, a, gotując obronę ojczyźnie, trwałem uczyniła polskie berło rządowe. Naród dźwigający przez długie lata kajdany niewoli, któremu prawa obca narzucała rada, dziś wolny i niepodległy czci wielkie, niebywałe w dziejach polskich dzieło, rozpoczynając od niego wolności okres.

Wiersz p. n. „Epigramma Serenissimo regi Polonorum et comitiorum statui“. „Wiersz do narodu polskiego Najjaśniejszemu Panu z okoliczności urodzin jego przypisany, podnosi również, że konstytucya podźwignęła tłumiony dotąd stan miejski i miasta, które w ostatniej były toni. I Wincenty Przewóski wynosi w swéj „Pieśni“ z tego czasu tę ustawę boską „nad którą setne pracowały wieki“.

W uczczeniu wielkiego aktu odrodzenia Rzeczypospolitej nie pozostali w tyle nawet żydzi. „Uczony Kaftała Herc Waysel napisał na tę uroczystość pieśń, którą drukowano w czterech językach: polskim, niemieckim, francuskim i żydowskim, aż na trzech arkuszach in folio po tytułem: „Hymn przy obchodzie uroczystości dnia trzeciego Maja 1792 roku, śpiewany w Warszawie i w innych Rzeczypospolitej miastach przez wszystkie żydowskie zgromadzenia.

(Dok. nast.)

Dr. Henryk Biegeleisen.

Z ŻYCIA ARTYSTÓW.

I. WŁODZIMIERZ TETMAJER.

Wpośród licznej rzeszy artystów, którzy w różnych kierunkach twórczości dają dowody większego lub mniejszego przywiązania do sztuki, spotkać można czasami jednostkę z naturą, urobioną w ten sposób, że odczuwa głównie to tylko, co ma związek z pięknem i w tym kierunku posiada wrażliwość niesłychanie rozwiniętą. Człowiek taki na świat cały patrzy wyłącznie ze stanowiska artyzmu i radby czyny i dążności ludzkie skodyfikować według prawideł sztuki. Dusza jego ma inne jakieś składowe czynniki, które jej pozwalają być czemś lepszem od pospolitości, czemś idealniejszem od zwykłej, filisterskiej myśli. Z poziomu, na jakim się człowiek wówczas znajduje, inaczej przedstawia się ziemia, nabiera ona bowiem barw i blasków, widzianych doskonale we wszystkich odcieniach i tonach, i przemawia dźwiękami najdramatyczniejszej symfonii — symfonii życia, podsłuchanej w najciekawszych momentach.

Gdyby takiemu człowiekowi kazano włożyć na szyję jarzmo zwykłej, pospolitej egzystencyi; gdyby mu kazano stanąć przy drodze, którędy kroczą na targ codzienny ludzie prości o popędach materyalnych, i tutaj gdyby musiał namawiać do kupna towarów — możeby był operetkowym bohaterem i wytrwałby na miejscu; alboby zerwał przykuwający go łańcuch i rozwinął skrzydła do lotu. A kiedy się raz znajdzie w przestworzach niczem nieskrępowanej swobody, już go żadna siła do powrotu nie skłoni, ani żaden pocisk z dołu nie dosięże.

Myśl nasza nie może wymazać w sobie obrazów, jakie z pierwszym promieniem światła w głąb jej zapadły, nie może pozbyć się dźwięków, które zabrzmiały w samych początkach życia. Nie żądajmy od nikogo nic, coby mogło być sprzeczne z naturą, usposobieniem, uczuciem. Mierzmy ludzi nie według naszej modły osobistej, ale modłę stosujmy do ich temperamentu. Bądźmy w najwyższym stopniu objektywni, jeżeli chcemy wydobyć ze świata zewnętrznego prawdę i jeżeli pragniemy poznać ludzi rzeczywistych i ocenić ich przymioty. Dowiedzionem jest dzisiaj, że niepodobna jest poznać człowieka bez uwzględnienia wpływów, którym od najmłodszych lat ulegał, bez odsłonięcia odległych chwil dzieciństwa, bez wpatrzenia się w otoczenie, które pierwsze żłobi niezatarte w duszy znamiona.

Poczucie barw i kształtów wyrobić się może przedewszystkiem w człowieku tam, gdzie owe barwy i kształty posiadają swój oryginalny charakter. Tak samo muzykalnym stać się można w otoczeniu muzykalnem. Różnica polega jedynie na tem, że umuzykalnienie wypływa ze sztuki, gdy talent malarski lub rzeźbiarski rozwija się bezpośrednio pod działaniem natury. Tej mistrzyni nikt nie jest w możności tu zastąpić. Im przyroda, wpośród której wzrasta malarz, posiada więcej piękności, im artystyczniejszych dostarcza motywów, tem wpływ jej na talent musi być silniejszy. Wyobraźnia napełnia się stopniowo nieskończonem mnóstwem wrażeń, rozprzestrzenia się i potężnieje; w człowieku powstaje nowy zmysł, przenikający ukryte dla zwykłego wzroku piękności, rozrzucone szczodrze dokoła, i na świat przychodzi nowy, wielki artysta.

W czarodziejskiej perspektywie, u podnóża Tatr roztoczonej, widzę miejsce, co najpierw działać poczęło na fantazyę Włodzimierza Tetmajera. Wieś Charklowa, gdzie się urodził 1862 r., położona w powiecie nowotarskim, była konduktorem, przez który do wnętrza jego płynęły błyskawicowe światła, pozwalające na dokładne w myśli odbicia obrazów cudownych natury. W tych pierwiastkowych wpływach przyrody wspaniałej i styczności bezpośredniej z malowniczym ludem, szukać należy zawiązków późniejszego kierunku twórczości Tetmajera. Z drobnych i nieznaczących na pozór czynników układała się powoli podstawa jego artystycznych tendencyj, formowała się główna zasada talentu, rozwinięta w rezultacie logicznie i konsekwentnie. Na wrażliwą duszę padały promienie ożywcze, ciepłe i zapładniające: kiedyś miało rozszerzyć się w uczuciu artysty gorące, bezwzględne przywiązanie do wsi naszej, w twórczości zaś jego miał zapanować kierunek odrębny, a niezależny od wszystkich szkół i akademij.

Ale nie odrazu doszedł Włodzimierz Tetmajer do świadomości, jaką drogą kroczyć w malarstwie powinien. Długo musiał artysta walczyć z coraz nowemi ideami, cisnącemi się do głowy, musiał zwyciężać po kolei przeszkody, stawiane, jakby z umysłu, przez mistrzów dokoła młodych talentów. Nie jeden kolega artysty uległ w walce, zniżył lot, albo go do okoliczności zdołał zastosować. Nie wielu zerwało pęta rutyny i podążyło w świat świeżemi, niewydeptanemi szlakami...

Kształcony gruntownie w gimnazyum św. Anny i na uniwersytecie Jagielońskim, Włodzimierz Tetmajer równolegle rozwinął przyrodzone, a bardzo wczesne objawiające się, zdolności artystyczne, bądź prywatnie, bądź na kursach rysunkowych w krakowskiej szkole sztuk pięknych, pod kie-

runkiem profesorów: Łuszczkiewicza, Cynka i Loeflera. — Półroczny pobyt w Wiedniu minął niepostrzeżenie i nie wywarł najmniejszego na młodego artystę wpływu. Obrazy, jakie Tetmajer malował wówczas w Krakowie, były jedynie dowodem pracy i sumiennych studyów, i dlatego autor na widok publiczny ich nie przeznaczył nigdy.

Kiedy Tetmajer wyjeżdżał do Monachium, nie wiedział jeszcze, jaką pójdzie drogą. Duch rwał się do pracy, czuł w sobie moc do lotu, ale nie rozwinął dotąd skrzydeł, w niepewności kierunku, w którym miał szybować. Dzisiaj nazywa artysta owe chwile swoim *Sturm- und Drang* peryodem, mówi o niespełnionych marzeniach na jednem polu, a urzeczywistnionych na drugiem. Talent świadomy siły, jaką posiadał, pragnął wyładować swoję energię; wyobraźnia, pełna świeżości i blasku, parła do jak najrychlejszego uzewnętrznienia form swoich; temperament rozpłomieniony palił pierś artysty, żądnego widoku zrealizowanych, a nie nurtujących, jak dotąd, w głębi aspiracyj. (D. n).

Adam Dobrowolski.

CÓRKA LEŚNEGO.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

WISŁAWA.

(Ciąg dalszy).

Na dworze burza zdawała się ustawać; deszcz tylko bił po szybach, pluskał w kałużach drobnych, i strugami rozlewał się przed chatą, przybierając tempo miarowe.

Usypiało to rozkosznie Mruczka siwego, który ułożył się na oknie, acz ciepło nie było tu obfitem — lecz biedak nie miał wyboru! — Z za pieca wygnała go Wasylowa, z pod ławki „Łoskot“ pies leśnego; okna mu tylko nikt nie bronił, zatem zwinąwszy się w kłębuszek spał, marząc o dobrym połowie na strychu i w stodole.

— Gdzież Matrona? spytał gospodarz, widząc jak żona chwyta konewkę — nastawia garnki, szuka misek, a kaszle i kaszle po swojemu.

— Wysłałam ją z grzybami do kowalowej — aż jutro przyjdzie.

— Potrzeba było — mruknął niechętnie — córce nie dasz się tknąć niczego, a samaś chora.

— Cóż ci to znowu? — Że kaszlnę sobie taka już moja natura — wszyscy to wiedzą.

— Dajno prędko wieczerzę! — Skoknąłbym na porębę.

— Ej — tato! — w deszcz taki?

— Właśnie też — noc złodziejska. — Może myśleć niecnota, że wygrzewam się pod pierzyną — a ja go cup!

Zjadł szybko kartofle z mlekiem — zakąsił chlebem razowym i wyprowadzony na podwórze przez córkę, poszedł chyłkiem do najpiękniejszego zapustu.

Deszcz ustawał pomału. — Las szumiał i huczał żałośnie jakoby został pozbawiony skarbów najdroższych. Suche gałęzie z chrzęstem uderzały o siebie. Nad jarem wyhukiwała sowa: hu! hu! hu! hu! — Tu i owdzie niby lawina śniegu spadały krople z resztek deszczu na liściach zatrzymane. Od wsi darła się znowu sojka, szukająca żołędzi — a na oderwanych debrach, działach czy też — wedle tradycyi — na cmentarzu, wtórował jej puszczyk piskliwie: hi! hi! hi! hi! hi!

Warwarka stała chwilę wsłuchana w owe szmery tajemnicze od kolebki do snu ją kołyszące. Nietoperze kręciły się koło domostwa. „Łoskot“ zamknięty w stajni, drapał we drzwi wyrywając się za panem. Matka kaszląc i szepcąc pacierze układała się do spoczynku.

Zimno było.

Masa spadtego deszczu stliła do szczętu działanie „Marcinkowego lata“, dziewczyna jednak otulona w chustkę wełnianą nie czuła tego. Czekała cierpliwie na powrót ojca, a głównie na wynik jego wycieczki. Wszakże chodziło tu o najulubieńszych jej wychowanków — o smukłą zieloną „Nedilę“, którą w same Zielone Świątki wiatr wyrwał z korzeniem — a ona będąc jeszcze niedorostkiem nierozgarniętym obłożyła murawą. — O rozłożysty „Czetwer“, uratowany od zeschnięcia. — O „Żerdkę“, „Krasnę“, „Krutę“, „Ponedil“, „Kiwtor“, które opielała troskliwie, okopywała, podpierała bez względu na gatunki, i wygląd zewnętrzny — jak gdyby to były istoty z krwi i kości.

Cóż za okrutnik ośmielił się targnąć na ich całość? Wkroczyć w państwo jedynie do niej należące? gdzie rosły takie wyborne smardze i kozaki! — Może właśnie teraz podciął jedno z najpiękniejszych — i ona jutro już tylko puste miejsce zastanie?!

Wyobraziła sobie ojca chwytającego złodzieja. Nachodzi go pocichutku — niespodziewanie go „łap!“ — Hultaj trzepie rękami, wyrywa się, prosi, błaga. O! nie zna widno Wasyla leśnego! — Nie popuści on go, nie daruje choćby go na pradziadka zaklinał i na wszystkich Cherubinów a Serafów. Las to święta rzecz — a przysięga w cyrkule! — Co? Śmiech? — Słyszy wyraźnie łomot i szamotanie się — chrupot łamanych gałęzi i mimowoli ramię na pomoc wyciąga.

Załopotało w komórce. Kogut zapiał. Za nim jakby na hasło ozwały się tam w dole wszystkie okazy pierzastego rodu, na całej przestrzeni kilometrowej. Echo płynęło czystem powietrzem tak wyraźnie, iż niemal można było rozróżnić głos Czerniucha dzwonnikowej od Kochinelii na Ruchli i Bramaputry wójtowego.

Ciemna postać wyłoniła się z za węgła.

— To wy ojcze? — spytała rozmarzona dziewczyna.

— Ja sam.

— Cóż złodziej?

— Dziś go już chyba nie będzie. — Ale jakaś ty zimna! rzekł dotykając jej policzka. — Ej! Ty! ty! nie mogłaś to czekać w pościeli! — i z dumą wprowadził ją do izby zapomniawszy o doznanych niepowodzeniach.

III.

Doroczny odpust na Świętą Pokrowę w Złotej Woli obchodził się z wielką wspaniałością. Wprawdzie nie było tam pątników z barwnymi chorągwiami jak w Milatynie, ani pątniczek w malowniczych strojach jak w Styryi — ani nawet namiotów rozbitych z wieprzowiną gorącą — z kawą, herbatą i piernikami; ni też kramów rozlicznych; — lecz za to parafianie nie potrzebowali wciskać się w kątki i robić pierwszeństwo przybyszom, ani pilnować domu i mienia ku wygodzie i nie zbyt dobremu świadectwu obcych gości, przeciwnie mogli oni ukazać się gromadnie w najlepszych szatach swoich, każdy z osobna i wszyscy razem.

Hram — bo to hram! praźnik — odpust święty! Jeden raz do roku. Należy więc prawowiernym chrześcianom wystąpić pięknie — nie żałować zachodu — żeby potem nie wstydzić się przed ludźmi ze wsi okolicznych.

Wiedzą to dobrze Złotowolanie i Złotowolanki — i zawijają się raźnie i żywo koło rozmaitych zatrudnień gospodarskich. Kobiety szczególnie czynne sę od tygodnia. Zamożniejsze — patrycyuszki — wyjmują z komory odzież odświętną — wietrzą ją — sortują — oglądają; czy też gdzie jaka haftka się nie rozluźniła — plamka z pleśni nie wyszła. Poczem gromadzą twaróg jędrny i biały na tradycyjne pirogi, na które pszenicę młynarz w młynie pytluje. Biedniejsze posługują się żarnami. Mielą zacięcie i gorliwie. Stąd też monotonny hurkot rozlega się w powietrzu, z wtórem pralników jakiemi dziewuchy nie mające zapasów toaletowych czy garderobianych — szaty swe za pomocą masy wody, popiołu, odrobiny mydła i farbki — do możliwej czystości przywrócić usiłują.

Nadszedł nareszcie dzień oczekiwany; zimny i posępny. Chmury ciężkie, jesienne, bałwaniły się na zachodzie, śnieg zapowiadając. Wrony krakały po ugorach i kretowiskach łąkowych; a kawki gromadami, przelatywały z drzew wysokich bijąc się i łopocąc skrzydłami.

Nie przeszkadzało to jednak przepisanego od wieku programu wykonać co do joty. Postrojeni gazdowie i gazdynie, parobcy i dziewczęta jasne niby gwiazdy na niebie miarowym krokiem udali się na nabożeństwo.

Prawiła się właśnie jutrznia święta. Ksiądz wysoki i poważny, kadził trybularzem, śpiewał, zamykał wielkie drzwi, zasuwał firanki, klękał; a dziaczki wyśpiewywali psalmy i antyfony.

Poważniejsi z parafian wchodzili do cerkwi pobożnie żegnali się krzyżem świętym — całowali Analogion (obraz patrona kościoła lub relikwie na stołku położony) i stawali na swojem miejscu. Młodzi zewnątrz oczekiwali na zaczęcie się służby Bożej, lustrując się wzajemnie, posturkując łokciami i szepcąc jakoweś uwagi. O modlitwie ani rachunku sumienia nikt nie pomyślał — chybaby która z dziewcząt przewiędłych przypomniawszy sobie Najświętszą Pannę z różańcem — Orędowniczkę małżeństw — westchnęła:

„Swiataja Pokrowojko!“

„Nakryj-że meni hołowojku!“

Z obcych prócz szewca z Parchańca, który nie dał za wygraną — i organisty z wsi kościelnej żyjącego w przykładnej zgodzie z bracią innego obrządku — nie było nikogo. Sami rzetelni parafianie otaczali świątynię Pańską — pomiędzy którymi nie brakło oczywiście pięknej Warwarki „z pod debry“ w drogich koralach i krasnej chustce na głowie.

Gdy uderzono we wszystkie dzwony przed summą, ukazał się nauczyciel z dzieci gromadką; uszykowaną w dwa szeregi.

W jednym szły małe dziewczynki na czele — większe za nimi. W drugim chłopcy postępowali tym samym porządkiem.

Dla Złotowolan był to widok nowy zupełnie. Dotąd, acz szkoła istniała od lat kilku, żaden z nauczycieli nie zadał sobie trudu, aby uformować oddział niesforny — dopiero „teraźniejszy“ przywiódł dzieci „po chrześciańsku“.

— Patrzcie no pani ekonomowa! mówiła młynarka, jak to moja Kasiunia drobi nóżkami!

— A Stefan wójtów! ho! ho! co za chłopiec!

Nauczyciel Jan Kalita delikatny blondyn ubrany w szary kostyum z żaglowego płótna, jaki noszą pożarnicy, na grzeczne pozdrowienie odpowiedział uprzejmym ukłonem i biorąc małą dziewczynkę za rękę wszedł do cerkwi.

Za nim wcisnęli się inni.

„Hospody pomyłuj! — Hospody pomyłuj! — Hospody pomyłuj!“ zabrzmiało donośne aż ściany zdawały się rozpierać — a bizantyńska okrągła kopuła drżeć u góry.

Dzieci śpiewały cieniutko lecz umiejętnie pod przewodnictwem nauczyciela. Warwarka połączyła głos swój z niemi.

Dziwnie słodko zrobiło się jej na sercu przy tej wspólnej modlitwie, gdzie młodzi i starzy, niewinni i grzesznicy razem podnosili serce do Boga, z pewnym rodzajem entuzyazmu religijnego, gdyż śpiew taki działa elektryzująco i odgania ociężałość i ospałość przynajmniej na czas trwania swego.

— Ależ dziateczki śpiewają, aż się serce raduje! — mówiły potem kobiety podczas akafistu i mirowania. — Złotowola nie miała jeszcze takiego „profesora“ — jak to on ich powyuczał!

— To jeno mi się nie spodobało — wtrącił szewc z Parchańca — że chodzi w prostej płótniance — a to przecie zawsze w surducie inny honor.

— Co mu tam potem! — odparła ekonomowa — taki honor ani zagrzeje ani pożywi. Ma on dwie tęgie gęby do miski — matkę i ojczyma strasznego ladaco. Skąd tu wziąć na cienkie sukno surdutowe?

— Pensya przecie mu idzie co pierwszego.

— I u jegomości zaczął uczyć Genuńcia.

— Myślicie, że to majątek? — Dawny (nauczyciel) brał z kasy 24 reńskich — jejmość za dzieci dodawała piątkę nie rachując krup jęczmiennych, no! i cóż?

— Bidowało nebożę bidowało! aż sum nas imał!

— Takoj prauda! — zawtórowano — „na południe“ pił herbatę z jajecznicą — a rano i wieczór wodę kryniczną.

— Kiedyś spożywał kaszę? — spytał poważnie szewc z Parchańca.

Odpowiedziano mu stłumionym śmiechem. Wójtowa trąciła bednarzową, bednarzowa młynarkę — młynarka komornicę przy niej stojącą i szmer cichy jak iskra elektryczna przebiegł całe zgromadzenie. Pani Beldzińska tylko wyłączyła się z pod ogólnego prądu; ciągnęła bowiem dalej z pewnem rodzajem namaszczenia:

— Nie na stroje im biedakom wydawać i na zabawę! Co nie to nie. — Kiedyś sam dziedzic mówił: Lubię tego Kalitę! Czysty chłopiec. — Nie pachnie tandetą jak inni!

Jakoby ku potwierdzeniu słów powyższych, na ścieżce ukazał się tęgi szpakowaty mężczyzna w towarzystwie przystojnego młodzieńca, który prętem lekko sobie strzepywał pył czy błoto z ubrania. Niemniej wyglądał elegancko a drobne nieznaczne plamki wilgotne nie odejmowały mu fantazyi, ani też nie były rażącymi.

— O! o! Dziedzic nasz! — szeptały kobiety składając mu ukłon należny. W sam raz przybywa na poświęcenie wody, jak co roku!

— W tamtym roci — wtrąciła jedna z dziewcząt — był „rańsze“ (wcześniej).

Z cerkwi tymczasem wychodziła procesya w całej paradzie i okazałości. (C. d. n.)

TRZECI MAJA.

WIERSZ OFIAROWANY MŁODZIEŻY WARSZAWSKIEJ

przez

T. LENARTOWICZA.

Imię twoje ludzkość cała...
Z. K.

Ariere ôte toi de ma vue que la terre te cache! — Tes os sont moelle; ton sang est froid il ny'a point de vie dans ces yeut vitreux que tu fixes sur moi...
Makbet.

PIOTR.

Ach! witaj, zkąd przychodzisz?...

PAWEŁ.

Z strony nadwiślańskiej...

PIOTR.

Powiedz raczej ze ziemi męki Chrześcijańskiej.
Cóż nowego? mów śmiało!

PAWEŁ.

O wszystko nie nowe,
Mowa polska zacicha, wróg nam odjął mowę.

PIOTR.

Nie odjął, gdy jej słyszę harmonijne brzmienie.

PAWEŁ.

Ale gdybyś tam zaszedł!...

PIOTR.

Lasy, rzek strumienie,
Przemówiłyby do mnie i mową i wiarą.

PAWEŁ.

Bo zdaleka, to człowiek wciąż Ojczyznę starą
Widzi taką, jak była... Pod moskiewską strażą,
Nieprzyjaciół językiem modlić nam się każą.
Dzień trwożny, noc niepewna, wciąż rewizye, szpiegi,
Puhar naszej trucizny wypełnion po brzegi,
A młodzież — i w młodzieży zmiana, straszna zmiana...

PIOTR.

W czym? co?..

PAWEŁ.

Fałszem karmiona, w fałszu wychowana,
Młodzież tam nie o Polsce duma jak przed laty;
Wywiały ją zawody, wciąż oblicza straty.
Przerażona Syberyą, którą rok w rok mierzy,
Widzi ogrom moskiewski i w nic już nie wierzy.
Im jedno pozostało: smutno rzec niestety,
Poruszać zmarzłą ziemię z bezocznymi krety,
Lub wyrzec się wszystkiego, przyodziać chałatem,
I pracować nad jakimś powiekowym światem,
Który po lat tysiącu ciągłej propagandy,
Na czoła z polnych kwiatów uwije gierlandy.

PIOTR.

Mylisz się i starcowi na świątyni progu.
Ofiarowanej niegdyś nieznanemu Bogu,
Historye smutne prawisz...

PAWEŁ.

Na progu?...

PIOTR.

Tak mój bracie, najniższym budowy
Opatrzności...

PAWEŁ.

Fatum, bóstwo zapoznane *).
Szaleństwo uderzyło wichrem w nasze głowy.

PIOTR.

Nie, tylko w tej świątyni uderzyło ścianę.

PAWEŁ.

Bracie jaśniej mów do mnie... kto jesteś człowieku,
Który śmiesz mieć nadzieję w wszechzwątpienia wieku!

PIOTR.

Proch wichrami na chwilę wzniesion nad poziomem,
Pustka mym towarzyszem, zapomnienie domem.
Znane to między ludźmi starożytne zdanie **)
Że żaden człowiek niewie nim u kresu stanie
Jakie to życie było, czy w szczęście obfite,
Czy w nieszczęście, lecz ja wiem nim przyjdę przed Dite ***)
Starzec bez posłuchu,
Z pustką straszną do koła, z męką straszną w duchu,
W myśli wciąż przetaczając krzywdy każdodzienne,
Ucisk moich współziomków i łzy powięzienne,
Bolałem nad powieścią: że swobody hasło
Zagłuchło tam; uczucie Ojczyste zagasło,
Że śmiech i w śmiechu pustka i wściekłość paląca
Jednych na drugich braci rzuca i potrąca;

Że moje ciężkiem jest...
Że z ich łona dźwięk każdy zwątpieniem zatruty,
Brzęczy jak wielkiej harfy potargane druty.

Czyjaż się na wieść taką dusza nie obruszy?
W jakiejż ponury smutek nie zagości duszy?...

Tak źle nie jest... Młodzież ta pełnem życiem żyje,
I uczuć swych nie chowa, wiary swej nie kryje.
Próżna mglistej czułości, westchnień pogrzebowych,
Przywdziewa grubą szatę do ciężkich prac nowych.
Nie świetne karmazyny, wielu na wpół bosi,
Ubogą nosi odzież... ale jak ją nosi...
Niech złodziej i rozbójnik oprawcom się liże,
Więzień szlachetny dumy nie traci w jasyrze,
I spojrzeniem strażników okrucieństwo wiąże,
W nieszczęściu niezachwiany duch niezłomny książe.
Cienie go wielkich Ojców w nędzy będą strzegły,
Wyższością własną zbrojny, w więzach niepodległy,
Kulę ciężką powłócząc, co mu stopy krwawi,
Myśli, za którą cierpi wiecznie błogosławi.
A po długich męczarniach i spokojnym zgonie,
Otwartym okiem zda się utkwion w swojej stronie,
Gdzie duch dążył przez życie jak jaskółki lecą,
Gdy im ranne promienie wierzchy gór oświecą;
I taki zwie się mężem z jednej głazu bryły.
Bo na świecie nie jedna, są siły i siły;
A kto wie która w dziejach na szali przeważy,
Czy siła wielkiej myśli, czy berło mocarzy?

Nie znoszę tłumnych zebrań wedle Rzymskich wzorów
Na Forum wymownego głosu oratorów.
Dość ich mam i za wiele tych publicznych wrzasków;
Okrągłych o wolności frazesów, oklasków,
I zdala od komicyj *) w izbie mej pod strychem,
Lepiej mi z myślą moją, z moim smutkiem cichym
Śnić Ojczyznę daleką, sinej Wisły łoże,
Niż patrzeć na lud szumny, który nic nie może;
Albo jeśli, — to jako wód wezbrana fala
Niszczy, a co w swej drodze zburzy, porozwala.
Gieniusz to zbiera, ściąga, zwrócon w górnę stronę
Wiążąc w nową budowę cegły roztrącone.
Posłannik nie despotów krwawego porządku,
A słowo, które było w wszechświatów początku.
Lecz przed taką młodzieży warszawskiej powagą,
Przed tą rozkrytą piersią i przed prawdą nagą
Uderzam czołem
Wieszcze słowo się cieleśni,
W obliczu wiecznej prawdy pieśń się gra bez pieśni.
Świadcząc że lutnia polska w czasie zgłuchła, przeto:
Że krew mówić poczęła . . . .
. . . .
Poeci czymże wasze strojnej lutni brzęki,
Obok harfy, do której Bóg przykłada ręki
I na tętnach krwi wolnych wieczne tony budzi,
Muzykę, która ludzi podnosi nad ludzi;
Wielką sonatę giestów, potężną krwi chrzestem;
Więc zimny dreszcz przechodzi i myśl Ja tu jestem.
I to wieczne JA żywe i światem rządzące
Uderza wichru skrzydłem, oświeca ich słońce,
I ogarnia, porywa i ciągnie i wlecze.
I radością upaja i z oczu łzą ciecze.

Nie histryony to śmierci, Rzymskie Gladyatory,
Nie męczennicy pełni wiary i pokory.
Nie namiętne to wielkiej Rewolucyi twarze,
Nie Anioły lecące na polskie smętarze,
To w pochodzie ludzkości Armii pierwsze straże.
Pieśń milczy na ich ustach i modlitwa kona,

*) Swiątynia w Atenach o której św. Paweł mówi. Fatum ciemne jasnem się stało dla Chrześcian, Opatrznością Bożą — *predestinatio* przeznaczeniem.
**) Trahinie Sofoklesa.
***) Pluton — Dite — Radamante. — Eako — Sędziowie Erebu. — Na piekielnym tronie okrutny zasiadł Dite ciemną chmurą czoło otoczone, berło rozpalone do czerwoności w dłoni dzierżąc. — (Claudianus).

*) Komicye — zebrania ludu Rzymskiego gwoli stanowienia praw i magistratów.

Pełnia ducha i dziwna pewność nieskończona...
Porusza ich potężna tajemnica losu,
Idą jak przeznaczenie i gwiazdy... bez głosu.
Bezsilni, a ze świata siłami się mierzą,
Bluźniercy i bez czucia, a czują i wierzą.

Jednako wieczne prawo w młode serca wnika,
Czy zwać je będą Fatum, czy Opieką wieczną,
Czy Jeruzalem nową, czy Wyspą słoneczną,
Czy wychodzi jak dziejów następstwo logika.
Ta sama nieodmienna mądrości natura
Tylko się na Aniołach mienią złote pióra.
A młodość jej pięknością rwana coraz nową,
Nie zmienia uczuć swoich, gdy odmienia słowo,
Odpowiednio do barwy, w jaką przyodziany
Wschodzi duch nad jej pola poranek rumiany.
Który jeśli pozornie z drogi swojej zbacza
I na pokus wprowadza tory niebezpieczne,
To po czasie dla myśli horyzont roztacza
Szerszy, niż objąć zdoła oko podsłoneczne.
Studenty obojętne na więzy i zgony,
Stają jak roślinności młodej gaj zielony
Pod zimne ostre kosy, bez cienia obawy...
Chwała wam syny mojej rodzinnej Warszawy.

Młodości! ty o prawdzie świadczysz mi zwycięzko,
Że nie ginie i z każdą potężnieje klęską.
Że jej proporzec biały dzieci i niewiasty,
Że słowem tak się kończy nasz wiek dziewiętnasty
Podnoszą w oczach świata...
Moskwo! cóż cię goni?
Pomarli my, z ust waszych słyszę głos to oni.
Tak to my, i złudzenie żadne was nie mami,
Promyk światła, którego nie zgasi, nie splami:
Spokojny pochód świecy śród świszczącej czerni,
Cisza, a pod nią słowo żyjących: wciąż wierni.

Melancholijne dumy...
Żal mi was szyderce,
Tam w głębi tam daleko i Moskwa ma serce,
I tę poruszą wierni, wyśmiani, bezwładni.
Moskwo! chorągwie idą wolności, upadniéj!

Młodość ta czysta prawdy przedwiecznej kapłanka,
Którą Cara północy dotyka niełaska,
Zawieszcza wam dzień wolny majowego ranka,
Bezbronna a walcząca wciąż młodzież warszawska;
Nie bluźnierstwem na Boga, nie spiskiem na Cary,
Cześcią wolnemu prawu, wielkim aktem wiary.
Warszawo! ty nie zginiesz w potopu zalewie,
Ty jedna znasz swą drogę, świat gdzie idzie — nie wie.

Florencya 26 maja 1891 r.

WOLNE MYŚLI

(FEJLETON).

III.

Awantury arabskie z teatrem krakowskim.

Przez cały dzień 1 czerwca trząsłem się jak w febrze. Oczekiwałem od dni paru zaproszenia na poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę nowego teatru, a tu godzina za godziną upływała, a o zaproszeniu ani słychać. No i nie dostałem go wcale. Sądziłem, iż jako korespondent paru pism i kawałek literata-fejletonisty, opiewającego od lat wielu rymem i prozą współczesne dzieje Krakowa, powinienem znajdować się na liście zaproszonych. Tymczasem historya przekaże potomności jako nad fejletonistą „Myśli" przeszedł do porządku dziennego magistrat m. Krakowa, czy też Rada miejska tego łaknącego wodociągów i kanalizacyi grodu, czy też wreszcie p. architekt i uprzyw. anegdociarz Zawiejski.

Ile mnie to bolało, to państwo sobie nie wyobrazicie. Ból jednak zastąpiła po chwili pogarda świata i pragnienie zemsty. Mnóstwo projektów snuło się po głowie, nie wiedziałem tylko który wprzód wykonać: czy poszarpać architekta, czy wysadzić dynamitem prezydenta, czy zmusić magistrat do odczytywania „harmonij i dysonansów" drukowanych w „Świecie", czy wreszcie skazać Radę miejską na wywąchanie zapachów na przewozie pod Wawelem.

W chwili gdy gad zemsty zwojami swemi okręcił myśli moje, jadowitemi zębami nadgryzając worek sercowy czyli osierdzie (pericardium), spotkałem dwóch znanych komedyopisarzy. „Włosy ich długie, kręcone wąsiska, wzrok dziki, suknia plugawa" przejęły mnie strachem panicznym. „Wiesz Pan co?" zawołał jeden chwytając mnie za guzik od surduta, — ci... (opuszczam epitet) nie zaprosili nas na poświęcenie! Ale zemsta, choć leniwa, zapędzi ich w nasze sieci! Ta karczma... Fuchs się nazywa — kładę areszt na Waszeci!"

Zaaresztowany poszedłem do Fuchsa i układałem razem z komedyopisarzami plan zemsty. Już jednak znacznie ochłonąłem: jeżeli ich nie zaproszono, to mnie wolno nie gniewać się wcale. Zacząłem nawet winnych tłómaczyć, przekładać, że nie było w tem złej woli, tylko... (pozwalam sobie ten wyraz wykropkować). I byłyby może moje perswazye pomogły, gdyby nie napływ równie rozsierdzonych artystów dramatycznych. Czułem krew w powietrzu, dałem więc pokój perswazyom i starałem się jedynie ograniczyć pole zemsty na miasto między plantacyami, zważywszy, że sam mieszkam na przedmieściu.

Kiedy plan był już w szczegółach obmyślany, nadszedł pewien pan wszystkowiedzący i z oburzeniem doniósł, że na dokumencie zamurowanym przy kamieniu węgielnym, wypisano nazwiska półkopy łokciowych znakomitości, a zapomniano o ś. p. Kruzerze. Jak wiadomo, gdyby nie zapis przyniósł 80.000 złr. przez tego Kruzera na budowę teatru, nowa świątynia należałaby do ciał niebieskich, wirujących w sferze projektów. To też na wiadomość wszystkowiedzącego, popartą słowem honoru, zrazu osłupieliśmy, a potem zaczęliśmy się śmiać tak szalenie, że subjekci z chłopakami uciekli do sklepu, a po mimice ich i ruchach palcami w kierunku głowy, łatwo wnioskować mogłem, że mają nas, Panie odpuść, za czubków i to bardzo niebezpiecznych.

Ale, przyznacie szanowni czytelnicy, że było się czego śmiać. Śmialiśmy się podwójnie i z „urządzaczy" i jednocześnie z samych siebie. Dyszeliśmy zemstą przeciw ludziom i instytucyom autonomicznym, którzy i które zapominają przy budowie teatru o pierwszym jego fundatorze. Czyż można się na nich gniewać i zemstę poprzysięgać za to, że nie umieli rozpisać zaproszeń? Jak można patrząc na wieżę Eiffla dziwić się wysokości fabrycznego komina?

Obawiam się jednak, że kiedy już tak dobry zrobiono początek, doczekamy się w sprawie teatru drugiej wieży Eiffla... naiwności sfer zajmujących się teatrem. Słyszałem jako rzecz pewną o projekcie oddania przyszłej dyrekcyi: Modrzejewskiej, Kazimierzowi Zalewskiemu i obecnemu dyrektorowi. „Bo to widzi pan, tłómaczono mi, Modrzejewska jest artystką, Zalewski pisarzem dramatycznym. a Glikson przedsiębiorcą — połączenie razem takich trzech czynników może stworzyć idealną dyrekcyę".

Wobec tego proponuję, aby wziąć do Dyrekcyi jeszcze Matejkę, Bogusławskiego, p. Łobojkę i Landaua. Modrzejewska będzie grała, Zalewski będzie pisał komedye, Matejko zajmie się częścią dekoracyjną, Bogusławski będzie pisał krytyki, Łobojko dyrygował tańcami, a Landau otworzy kantor wekslu dla przejezdnych kupujących bilety i w potrzebie „wygodzi" artystom lub rozentuzjazmowanej publiczności, pra-

gnącej rzucać bukiety i robić prezenta artystkom. Pan Glikson obejmie kasę i reprezentacyę na zewnątrz. W propozycyi mojej brakuje jeszcze wprawdzie krawca teatralnego, fryzyera itd. ale na razie nie mam odpowiednich kandydatów.

Jeżeli propozycya moja, mająca na celu wszechstronne uwzględnienie potrzeb teatru, nie znajdzie dostatecznego poparcia, to nawzajem nie udzielę go projektowanemu składowi dyrekcyi. A to z następujących powodów:

Przedewszystkiem przysłowie mówi: gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść, a lubelskie wieśniaczki mówią jeszcze: „Przy jednym kominie trzy gospodynie, to i nic nie uwarzą i oczy sobie wyparzą“. Na mały teatr krakowski trzech dyrektorów (a właściwie czterech, licząc p. Chłapowskiego), to zawiele, bo nawet jeden usilnie starający się o dobro sztuki, nie bardzo by się przy obiedzie teatralnym pożywił.

Następnie nie jestem zwolennikiem rządów babskich (za to wyrażenie całuję po sto razy łapki pięknych czytelniczek, prosząc o przebaczenie). Kobieta powinna królować, a nie rządzić.

Wkońcu uważam za najlepszy w teatrze rząd jedynowładny i despotyczny. Inaczej musi powstać chaos. Zresztą aż nadto mamy dowodów, że, gdzie było kilku dyrektorów jawnych, czy tajnych, tam o dobrem prowadzeniu teatru nie słyszano.

To są uwagi zasadnicze, ale oprócz nich mam w zapasie jeszcze uwagi, tyczące się projektowanego „triumviratu“: Chłapowski — Glikson — Zalewski, z p. Modrzejewską na czele.

Znaną jest rzeczą, że zbyt wybitna indywidualność artystyczna na scenie, przygniata resztę wykonawców. Jeżeli zaś ta indywidualność będzie jeszcze dyrektorką, w takim razie reszta artystów zejdzie do roli komparsów. P. Modrzejewska jest stanowczo za wielką na scenę krakowską.

W Warszawle, przy Królikowskim, Żółkowskim, Rapackim, Tatarkiewiczu, Szymanowskim, Popielównie, Rakiewiczowej itd. itd. była zupełnie na swojem miejscu, bo nie zaćmiewała przecież innych. Teatr krakowski zaś wyglądałby jako teatr prowincyonalny, w którym występuje w przejeździe znakomita artystka. Nie chcąc nikogo obrażać, dodaję, że mamy dwie siły odpowiadające talentowi p. Modrzejewskiej, ale w Warszawie było takich sił 10 przynajmniej, a była nawet jedna, tj. Żółkowski, stojąca wyżej talentem od p. Modrzejewskiej.

Naturalnie p. Modrzejewska będzie występowała w odwiednich dla siebie rolach, będziemy więc mieli dramaty i tragedye, a Szekspir nie zejdzie z naszej sceny. Bardzo to pięknie gdzie jest kilka teatrów, ale scena krakowska nie może żyć jedynie dramatem i tragedyą, a „Hamlety“ i „Makbety“ nawet się przejedzą. Dobrą jest taka serya przedstawień przez parę tygodni, podczas występów gościnnych, ale nie na stałe.

P. Chłapowski znowu, jako lubownik sztuki francuskiej będzie się starał, aby nie schodziła ona z naszej sceny. O sztukach oryginalnych pomyśli p. K. Zalewski, ale ponieważ nie będzie na nie miejsca, poprzestanie więc na wystawianiu swoich własnych utworów dramatycznych. Reszta komedyopisarzy polskich skazaną zostanie na banicyę z krakowskiej świątyni sztuki.

I nawet trudno temu będzie się dziwić, bo choćby nawet wydostano jeszcze parę tysięcy więcej subwencyi, to sama gaża dyrektorów pochłonie ją w całości i zaczerpnie jeszcze ze zwykłych dochodów. Na sztuki oryginalne więc nietylko zabraknie miejsca w repertuarze, ale i pieniędzy w kasie.

Cóż wobec tego będzie robił p. Glikson? A no, dla ratowania finansów sprowadzi od czasu do czasu „liliputów“, „damy latające“, magików, „człowieka-rybę“ itp.

Tak według logicznych przypuszczeń wyglądałby teatr pod projektowaną dyrekcyą. Dużo rządców, dużo gaży dyktorskiej, dużo Makbetów, dużo komedyj p. Zalewskiego, dużo sztuk francuzkich, trochę przedstawień cyrkowych, za to mało wybitniejszych sił artystycznych, mało dobrej gry, mało pieniędzy, a nic utworów oryginalnych. Gdyby jeszcze potrącić o przyszłe sprawy zakulisowe, możnaby uzupełnić ten miły obrazek. Niech jeszcze p. Zawiejski postara się o przeciągi w sali i złą akustykę, — a Rada miejska wystawi sobie nowym teatrem pomnik, uwieczniający jej 25-letnią działalność.

K. Bartoszewicz.

NOWE PASTELE

przez

PAWŁA BOURGET'A.

I. Święty.

W październiku 188....

Podróżowałem po Włoszech, nie mając innego celu nad zabicie paru tygodni czasu przypatrywaniem się powtórnem niektórym z moich ulubionych arcydzieł.

Takie drugie wrażenie sprawiało mi zawsze daleko żywszą przyjemność niż pierwsze, dlatego zapewne, że odczuwam zwykle sztukę jako literat, inaczej mówiąc jak człowiek, co w obrazie czy też w posągu, szuka przedewszystkiem pretekstu do oddania myśli.

Nie jestto zapewne zapatrywanie się estetyczne, i każdy prawdziwy malarz uśmiechnąłby się na nie z politowaniem, a jednak ono to właśnie przywiodlo mię w miesiącu październiku na kilka dni do Pizy.

Pragnąłem odżyć tam, śniąc o Benozzo Gozzoli, i d'Orcagna.

Nawiasem nadmienić muszę, aby się nie wydać zbyt wielkim nieukiem znawcom historyi sztuki, że imieniem d'Orcagna nazywam autora „Tryumfu śmierci“ w Campo Santo w starej Pizie, choć wiem bardzo dobrze, iż krytyka nowoczesna zaprzecza mistrzowi, ojcostwa tego dzieła.

Dla mnie jednak, jak dla wszystkich co pamiętają cudowne wiersze Pianta o tym tragicznym fresku, d'Orcagna jest i pozostanie na zawsze jego utworem. Nadto mimo fatalnej i wątpliwej krytyki katalogów, Benozzo nie utracił praw swoich do autorstwa dekoracyi zachodniego muru na cmentarzu. Mój Boże! ileż to wrażeń doświadczyłem w tym małym zakątku świata, przypominając sobie, że Byron i Shelley zamieszkiwali w tym starym toskańskim grodzie, że mistrz mój ukochany pan Taine opisał plac sąsiedni w najwymowniejszych swych kartkach, że wielki liryk Pianto tu właśnie przebywał, że w końcu Benozzo Gozzoli, ów pilny pracownik poezyi malarstwa, spoczywa pogrzebany u stóp tego muru, na którym znikają powoli jego freski.

W obwodzie pizańskiego Campo Santo, na tej ziemi przywiezionej z Palestyny, ongi za czasów pobożnych, widziałem rozwijające się pod tchnieniem wiosny, blade narcyzy u stóp czarnych cyprysów; widziałem jak zima rozsypywała tam płatki śniegu topniejące; jak upalne włoskie lato ciężyło nad bezcienistym placem całą swą palącą wagą. A jednak nienasycony, powróciłem raz jeszcze owej jesieni, nie przeczuwając, że stanę się mimowoli uczestnikiem dramatu moralnego, jeśli nie jako aktor, to jako widz mocno wzruszony.

Pierwszym epizodem tego dramatu, był jak to się często zdarza, przypadek bardzo pospolity; przytaczam go z przyjemnością, choć wiąże się z historyą moją, bardzo tylko słabem ogniwem. Stają mi najpierw przed oczyma, komiczne postaci dwóch starych panien, angielek. W ciągu mych odwiedzin kilkakrotnych w Campo Santo, zauważyłem je, a dziwaczną swą brzydotą, jak również szczególną praktycznością kostiumów, wydały mi się żywą, choć karykaturalną ilustracyą, do wzruszającego mnie wiersza:

„Nie masz już płci, ani wieku“.

Bardziej ruda (jedna mogła uchodzić od biedy za gorącą blondynę) kopiowała zacięcie kobietę z „Tryumfu śmierci“, tę, co w lewym orszaku zwrócona prosto do widzów, ukazuje im swoje niewinne oczy i delikatne usta, oczy i usta, które kłamać nie umieją, których nikt zapomnieć nie może, kto je raz pokochał.

Biedna angielka nie miała najmniejszego talentu, lecz wybór modelu i sumienność z jaką się oddawała swej pracy, zainteresowały mnie istotnie. Później ponieważ obie panny mieszkały w tym samym co i ja hotelu, popełniłem niedyskrecyą szukając ich nazwisk na liście cudzoziemców: jedna zwała się miss Mary Dobson, druga miss Clara Roberts. Były to dwie panny około pięćdziesięcioletnie, urządzające jedne z tych wycieczek tak zwanych „abroad“ jakim ich mimowolne, czy dobrowolne koleżanki w celibacie, oddają się corocznie z takim zapałem opuszczając całemi tysiącami, swoją rodzinną wyspę. Wyprawiają się po dwie, po trzy, czasem po cztery, na rok lub półtora, osiadają w drugorzędnych pensyonatach, których adresy podaje sobie cała ta francmasonerya podróżniczek, uczą się nowych języków mimo siwych włosów i starają się zrozumieć sztukę z bohaterską wytrwałością. Przebywają wśród najgorszego otoczenia z anielską czystością, a wszędzie potrafią odnaleść, jakiś kościół angielski, cmentarz angielski, aptekę angielską, nie zaniedbując nigdy, choćby w głębi Kalabryi, lub nad brzegami Nilu urządzić herbatki po angielsku i to w tych samych godzinach, w jakich pijały ją zwykle w swych salonikach w Dewonshire lub Kent... Tyle mam prawdziwego podziwu dla energii moralnej tych istot, ukrywającej się po za pozornemi śmiesznostkami, że w czasie mojej włóczęgi, staram się zawsze zawiązać z niemi znajomość. Zresztą zamiłowanie ścisłości będące charakterystyczną cechą ich rasy, czyni je zwykle znakomitemi doradczyniami.

Mają one zwyczaj sprawdzać wszystkie wiadomości umieszczone w przewodnikach, a ktokolwiek probował tylko z Baedekerem w ręku błądzić w jakim zapadłym zakątku Włoch, ten przyzna, że taka kontrola jest rzeczą arcy pożyteczną. (D. c. n.)

SZKICE NAUKOWE.

I. Filozofia.

„*Myśl*“ zamierza nie pomijać i tej najwyższej mistrzyni życia, lecz śledzić bacznie rozwój idei filozoficznych w najrozmaitszych kierunkach i objawach. Zanim uskutecznimy nasz projekt, wpierw należy zrobić swego rodzaju bilans szkół, walczących z sobą, ogarnąć jednem spojrzeniem, do jakich wyników doszła każda z nich w ostatnich czasach i jakie stanowisko zajmuje obecnie.

Przegląd nasz rozpoczniemy od charakterystyki filozofii we Francyi, a na razie słów parę poświęcimy eklektyzmowi, który przez długi szereg lat był urzędową szkołą w uniwersytecie francuskim. Zdaje się, że dzieło Wiktora Cousin'a (1792—1867) znalazło w dobie dzisiejszej sąd sprawiedliwszy, niż dawniej. Dzięki dobrej książce Pawła Janet'a, który duże napisał studyum o swoim mistrzu, dowiedziano się, że Cousin spełnił nie małe zadanie i oddał społeczeństwu usługi przez wydawnictwo dzieł wielkich myślicieli klasycznych i przez entuzyazm, jaki do filozofii wzbudził. Ale trzeba przyznać, że jeżeli obecne pokolenie jest sprawiedliwsze w sądach, jakie wydaje, to mu to przychodzi daleko łatwiej: jest wolne. Chociaż elektyzm nie panuje już dzisiaj, ma jeszcze swoich wyznawców: Karol Waddington broni go w Sorbonie; Franck posługuje się nim w swoich artykułach, zamieszczanych w *Journal des Savants.*

Przyczyny, które zwyciężyły eklektyzm, ciekawe są bardzo, ponieważ one stanowiły ruch filozoficzny, pełen zapału. Eklektyzm zginął wskutek własnych błędów: kiedy był doktryną panującą — zaczął frazesem pustym wojować, i to go zgubiło. Oprócz tego do zguby przyczyniła się uległość eklektyzmu względem państwa i kościoła.

W samej szkole eklektycznej zawiązała się teorya neospirytualizmu pod wpływem ucznia Wiktora Cousin'a: Pawła Janet'a. Zasadę swoją rozwinął Janet w pracy: *La Crise philosophique*. Na poparcie teoryi wynajduje autor argumenty wszędzie; nic nie ma dla niego mniejszej wagi; korzysta zarówno ze wszystkich uczonych: Milla, Baina, Spencera, Taine'a, Ribota.

W kierunku dalszej ewolucyi filozoficznej zapisali swoje imiona dwaj uczeni: Ravaisson i Lachelier. Pierwszy wydał studyum o filozofii XIX w. we Francyi — rzecz dotychczas używaną, jako podręcznik, przez wielu profesorów. Autor ten celuje łagodnością usposobienia, względnością i głębią poglądów, wdziękiem wykładu, potoczystym stylem, uczy bardziej smaku estetycznego, niż wiedzy ścisłej. Lachelier pisał mało do druku, lecz dał się poznać we Francyi jako doskonały profesor w szkole normalnej. Prelekcye jego wywarły wpływ na wielu ludzi i dotąd o nich wspominają uczniowie, których profesor usposobił do badania Kanta. Ravaisson i Lachelier rozwinęli młodych ludzi aż do rozumienia Darwina.

Obok powyżej wymienionych filozofów, trzeba postawić Alfreda Fouillée, który głównie się odznaczył oryginalną metodą analizy; dąży ona do pogodzenia wszystkich szkół na podstawie zasad moralności.

Zauważono już powszechnie, że wpośród dzieł filozoficznych, jakie się w dobie najnowszej w świecie naukowym pojawiły, jest bardzo wiele poświęconych wielkiemu scholastycznemu doktorowi. Mówimy o odrodzeniu filozofowi św. Tomasza z Akwinu. Ruch niniejszy ma swoje źródło w Encyklice *Aeterni Patris* z dnia 4 sierpnia 1879 r. Papież, Leon XIII, wskazywał chrześcianinowi św. Tomasza, jako mistrza. Był to zwrot i odnowienie filozofii chrześciańskiej. 4 sierpnia 1880 r. św. Tomasza uznano za patrona wszystkich szkół i uniwersytetów. Odtąd rozpoczęły się badania św. Tomasza, a w piśmie *Les Annales de philosophie chrétienne* znajdują się znakomite prace w tej materyi.

Na określeniu ruchu filozoficznego, który ma odmienny, nowy charakter we Francyi i niesie idealistyczne pierwiastki w swem łonie, — poprzestajemy dzisiaj. W dalszym ciągu zwrócimy uwagę na ewolucyę pozytywizmu.

Dr. M. I.

CO TO JEST HISTORYCZNY OBRAZ?

O ile potężniejszą jest indywidualność malarza, o tyle z pewnością dalej uniesie go od wrażenia — jakie pierwiastkowo odebrał od suchych kilku wyrazów wyczytanych w kronice, gdyż szuka on formy do swoich wrażeń od form obserwowanych naocznie.

Ponieważ, w praktyce mieliśmy tysiące dowodów, że w obrazach przedstawiających fakty historyczne, można bez trudności i zawsze znaleźć całą masę rzeczy niezgodnych z podaną tradycyą — nawet wtedy, gdy chodzi o fakty nie bardzo od nas oddalone — to stosunek niezgodności faktu historycznego z bardziéj odległych czasów wzrasta równomiernie do kwadratów z odległości.

W naszem społeczeństwie, wskutek nieszczęść politycznych — panuje pewien niesmak do teraźniejszości — do chwili obecnej. — Nie mogąc stawiać pewnych horoskopów na przyszłość — chętnie zwracamy się do świetnej przeszłości — idealizując ją *à outrance.* — Ztąd prąd w kierunku

historycznym tak na naukowem ściśle polu — jak i na artystycznem. Nie będziemy tu wcale tego ruchu potępiać — bo z faktami temi liczyć się musimy, jednakowoż nie powinniśmy się też łudzić, ażeby to, co nam dziś malarze historyczni dają, było istotnie historycznem. Nasze malarstwo historyczne — jest to świat ściśle biorąc fantastyczny, wylęgły w mniej lub więcej utalentowanych mózgach, ale tylko fantastyczny, i dla naszych potomków otrzeźwionych z naszej tęsknoty do przeszłości — pozostaną tylko kapitalne dzieła sztuki, któreby niemi niezawodnie były, bez historycznej fabuły.

Tymczasem tak zwane dzisiaj rodzajowe obrazy dadzą kiedyś naszym potomkom szereg niezmiernie ciekawych dokumentów historycznych; ponieważ są wykonane pod wpływem wrażeń wzrokowych od otaczającego nas obecnie życia, i żadna powieść współczesna ani kronika nie może dać potomkom naszym tak dokładnego pojęcia o wyglądzie obecnych ludzi ze wszystkiemi szczegółami z ich życiem pozostającemi w związku — ile ich da każdy choćby nie bardzo znakomity pod względem artystycznym obraz rodzajowy.

Umyślnie dotąd nie dotykaliśmy wcale strony artystycznej obrazów — ponieważ ona stanowi tylko o wartości obrazów, jako dzieł sztuki.

Chodziło nam bowiem tylko o wartość historyczną obrazów — dziś za takowe uważanych. I tak „Elekcya pod Wolą“ — której kopia jest w Muzeum narodowem, jakkolwiek jest bardzo słabym obrazem pod względem artystycznym — jako dokument historyczny jest warta więcej, aniżeli „wzięcie Grenady“ Pradilli — co znowu temu obrazowi nie przeszkadza być kapitalnem dziełem sztuki.

Łączyć więc w jedno — wartość historyczną obrazu, lub przekładać nad jego wartość artystyczną, nie można, i ubliża się nawet malarzowi, jeśli się ceni więcej, w jego obrazie, to, co nie jest jego — co jest tylko pobudką — aniżeli to, w czem się on cały wyraża — takim jakim jest, — to jest artystyczną stronę jego obrazu.

Historyczność tak retrospektywna, jak spółczesna — obrazom jako dziełom sztuki zawsze szkodzi — i tylko ci robią dobre obrazy z historycznym tematem, którzy jak najmniej są związani jakąś fabułą. Dowodów na to poddostatkiem. Obrazy Neuville'a z wojny francusko-pruskiéj, są bez porównania lepszemi dziełami sztuki — chociaż historyczność ich jest słabsza — aniżeli obrazy Antona von Wernera — który znowu jest bardzo ścisły jako historyk.

Moglibyśmy przykładów takich przytoczyć tysiące — jednak sądzimy, że te wystarczą, aby czytelnik mógł sobie wyrobić pojęcie o tem — które obrazy są historyczne, a które niemi nie są.

Konwencyonalizm, który zawsze pragnie pozornie podobne rzeczy — podawać za takie same, zatarł różnicę pomiędzy różnemi pojęciami; z tego wytworzył się chaos, który staraliśmy się cokolwiek oświetlić. Takie obrazy h i s t o r y c z n e, które przedstawiają fakty dawno przebrzmiałe — są więc tylko fantazyami na kanwie jakiegoś zdarzenia; zaś istotnie historycznemi są te, które przedstawiają jakieś spółczesne nam fakty i są teraz wykonane — lub te, które były wykonane równocześnie z faktami. — Historya robi się codzień — a z nią i historyczne obrazy. Pierwsze mają tylko temat wspólny z faktem, drugie są samym faktem utrwalonym dla następnych pokoleń.

A. Piotrowski.

TEATR.

(Dokończenie).

Ze Lwowa.

Czemś nieskończenie przyjemnem, czemś, o czem długo widzowie wspominać i pamiętać będą — było uroczyste przedstawienie w dniu T r z e c i m M a j a — zwłaszcza zaś i przedewszystkiem fragment z „Pana Tadeusza“ — w dyskretnem a pełnem pietyzmu obrobieniu scenicznem pana Stanisława Rossowskiego. Z tym samym pietyzmem odegrał każdy z artystów każdą, choćby najmniejszą rolę, a dyrekcya, wystawiając fragment z niepraktykowaną teraz starannością i wspaniałą wystawą, zyskała sobie wielkie plus zapisane na conto jej rachunków z publicznością, które jak dotąd mocno są zagmatwane, pomimo, że rachunki to podobno specyalność obecnego kierownika naszej sceny.

Operetkę Straussa „Cagliostro“ wystawiono z największej biedy — niepodobna bowiem, żeby nie wiedziano, że padła wszędzie, nawet w Wiedniu, gdzie przecież Strauss znaczy tak wiele. Wystawa bardzo staranna.

Składkowa farsa trzech autorów francuskich „Państwo Moulinard“ — miała być złotą żyłą dla dyrekcyi — niestety jednak — zaraz, na pierwszem przedstawidniu zarznął państwa Moulinardów bez noża i bez użycia ostrych narzędzi pierwszy nasz artysta komiczny... pan Fiszer.

Zastanowiłem się dobrze zanim napisałem, co wyżej i nie cofam tego, choćby się to miało wydać herezyą wszystkim wielbicielom tego niepospolitego artysty.

Czas nareszcie powiedzieć głośno to, o czem oddawna mówi się na ucho — a czego dotąd nikt nie miał odwagi napisać, właśnie z powodu uwielbienia dla niego. W Fiszerze niezrównany monologista zabił znakomitego niegdyś artystę. Ten wielki obserwator i czasami genialny psycholog przyzwyczaił się grać na własną rękę i na własny tylko rachunek — a nie jest dziś zdolnym podporządkować się dla dobra sztuki, gra więc tak, jak jemu się podoba, nie troszcząc się o otoczenie. Tutaj wydało mu się stosownem i dla s i e b i e pożytecznem tempo gry zwolnić tak, że zahamował wszystkich, a wesoła i rozwierzgana farsa wlokła się jak po grudzie — chybiła więc efektu i położyła się nazajutrz spać w pyle biblioteki teatralnej, pomimo wszelkich warunków długiego życia i dobrego powodzenia. Opowiadają sobie, że powstały stąd scysye między dyrekcyą a panem Gustawem, który z początkiem czerwca wyjeżdża do z ł o t e j P r a g i.

Złotowłosą pannę Snażankę publiczność przyjęła sympatycznie. Pierwszy raz nadobna Warszawianka wystąpiła w „Przedśniadaniu“, jak raz w sam dzień śmierci autora tej niezrównanej jednoaktówki.

Apropos ś. p. Fredry dwa słowa:

Dzienniki nasze w mniej lub więcej dokładnych życiorysach wymieniając różne jego dzieła dramatyczne nie wspomniały o „Obcych żywiołach“, a jednak jestto, jeżeli nie najlepsza z prac jego, to stanowczo najpoważniejsza. Rzecz ta nigdy powodzenia nie miała, a szkoda! są tam bowiem charaktery rysowane silnie i śmiało — gorzkie prawdy wypowiedziane otwarcie, że jednak nikogo nie szczędził, a wszystkich naruszył — sztukę zganili wszyscy. Może by dobrze było sztukę wskrzesić teraz, gdy trochę namiętności ostygły?

Jamnik.

LITERATURA.

T e a t r y a m a t o r s k i e, wydawnictwo Józefa Blizińskiego.

(b) Brak umiejętnie dobranych komedyjek, tak oryginalnych, jak tłómaczonych dla użytku teatrów amatorskich dawał się u nas dotąd uczuwać, zwłaszcza w ostatnich czasach, kiedy, obok różnych instytucyj, uprawiających dyletantyzm w sztuce dramatycznej, również w domach prywatnych stały się zaimprowizowane deski sceniczne — jedną z modniejszych a co prawda, mniej banalnych zabawek. Częstokroć najlepsze chęci usłużnych amatorów i pięknych amatorek rozbijały się o nieumiejętność dobrania stosownej sztuki,

o brak chwilowy egzemplarzy komedyi, wadliwość tłómaczeń i t. d. Wszystkim tym niedostatkom zaradzi obecnie podjęte przez znakomitego komedyopisarza, — a naszego od pierwszej chwili współpracownika — Józefa Blizińskiego wydawnictwo, którego trzy zeszyty już się ukazały.

Dotychczas znajdujemy w nich tylko komedyjki tłómaczone („Broń niewieścia“, „Za pozwoleniem łaskawa pani“ i „Łapka na myszy“) — następne jednak zeszyty przyniosą także rzeczy oryginalne, a w tej liczbie kilka doskonałych jednoaktówek autora „Rozbitków“.

Życzymy szczerze powodzenia nowemu wydawnictwu, z góry już przekonani, że ołówek redaktorski Blizińskiego zapewni „Teatrom amatorskim“ poczytność i rozpowszechnienie.

Przy tej sposobnoście nie od rzeczy może będzie nadmienić, że twórca „Pana Damazego“ posiada w swej tece dwa skończone akty nowej społecznej komedyi.

Prędzej, prędzej, znakomity autorze! bo w naszym repertuarze posucha straszna, zatrważająca.

„O upadłościach i bankructwach“, Tom I. (Warszawa-Kraków. Gebetner i Wolff) przez Stanisława Bełzę.

Jest to gruntowny komentarz do artykułów 437—485 obowiązującego w Królestwie Polskiem kodeksu handlowego tj. do zarządu masą upadłości przez kuratora. Tom drugi drukuje się obecnie w Krakowie i obejmie zarząd syndyka tymczasowego i ostatecznego. Cała rzecz da nam dokładne pojęcie o obowiązującem pod zaborem rosyjskim prawie „O upadłościach i bankructwach“, a tem samem przysporzy polskiemu piśmiennictwu prawnemu obszerny komentarz do prawa upadłościowego.

Jan Kasprowicz! Z chłopskiego zagonu. Opowiadania wierszem. Lwów. Nakładem księgarni polskiej 1891.

Jest bardzo trudno wierszem, a zatem w poetycki sposób opowiedzieć rzecz tak, aby ona równe zajęcie wzbudziła w umyśle człowieka wykształconego i gospodarza wiejskiego lub rzemieślnika; jestto tak trudne, że chyba na palcach możnaby wyliczyć tych, którym się to udało. Czy się uda i p. Kasprowiczowi, naprzód przewidzieć nie można; co do nas jednak, jesteśmy zdania, że jakkolwiek demokratyzowaniem skrajnem poezyi, jeżeli się tak można wyrazić zdobywa on sobie piętno wielce oryginalne, to z drugiej strony artystyczna wartość jego utworu przez to samo się obniża. P. Kasprowicz, zdaniem naszem, popełnia jedną niekonsekwencyą, a mianowicie, pragnąc pisać dla wszystkich, obiera sobie najczęściej formę zawiłą i trudną. Jestto także oryginalne, ta forma dziwnie powiązanych strof i rymów, ale żeby to miało podnosić ogólny ton poezyi p. Kasprowicza, tego my przynajmniej nie powiemy.

Utwory jak: „Na służbie“, „Dwaj bracia rodzeni“ i „Salusia Orczykówna, gdyby były pisane po prostu, jak naprzykład „Jewka Orliczka“, spewnością by na tem nie straciły. Do wszystkich tych wymienionych utworów poeta użył tematów z najbliższego mu i najbardziej znanego życia ludu poznańskiego. W utworach tych wije się ciągła nić tendencyi postępowej, co zresztą u p. Kasprowicza jest, jakby główną pobudką do tworzenia. Niepospolity ten talent, gdyby mniej przykładał wagi do celu, w jakim pisze, a więcej troszczył się o artyzm, nieprzestał by być bynajmniej samodzielnym, bo na to jest stanowczo — za duży i za silny, a podniósł by się niewątpliwie wyżej jeszcze, niż dziś stoi. Rzecz dziwna, że u nas tak mało piszą o p. Kasprowiczu, podczas gdy zagranicą silnie się jego talentem zainteresowano. W ostatnich czasach czytaliśmy o poezyach Kasprowicza jedynie krytyki p. Józefa Bornszteina, umieszczone w „Nowej Reformie“ i „Przeglądzie tygodniowym“ warszawskim. Warto przecież, bez względu na obozy literackie, zapoznać się bliżej z poezyami autora: „Świat się kończy“.

ZAGADKA.

Pierwsze litery na dół z góry,
Także ostatnie w górę z dołu,
Dadzą ci imię polskiej córy.
Co składa wiersze bez mozołu.

1. Ta pasterza ukochała,
Lecz go nigdy nie dostała;
Ale za to, tak poeci jak rycerze,
(Czemu chętnie i ja wierzę),
Czoło swoje nią zdobili,
Gdy ją bogi w krzew zmienili.
2. We wsi prawie każdej siedzi,
Za ruchami ludzi śledzi;
Mina miła, czasem sroga,
Teraz odwykł od batoga.
3. Te poeci pisać lubią,
Aż się czasem w niebie gubią;
I nasz Adam piękną, wzniosłą,
Z każdem polskiem dzieckiem zrosłą,
Nam zostawił. Niech mu za to
Wdzięczną będzie i Erato.
4. W miastach wszystkich on nieznośny,
Bo jest zawsze nazbyt głośny;
Gdy go słyszysz, ustąp z drogi,
Póki zdrowe jeszcze nogi.
5. Do Japonii jeśli zajdziesz
To je prędko tam wynajdziesz.
6. Tę patryarchowie dobrze znali,
Bo swe trzody tam pędzali.
7. Ten angielskich był królem wyspiarzy,
Naród go przydomkiem Wielkiego darzy.

(Ułożył Józef Kropiwnicki).

Kto nadeśle pierwszy dobre rozwiązanie, otrzyma jako nagrodę „Album pamiątkowe“ K. Bartoszewicza.

ROZRYWKI NAUKOWE *).

Zapytania. Od jakich wpływów zależy w ogólności parowanie wody w zbiornikach naturalnych na ziemi?

W jakim kierunku naokoło słońca krążą tak zwane gwiazdy spadające, czyli meteory?

Gdzie się mieściła ta masa wody, która dziś wypełnia oceany, w epoce gdy ziemia była rozpaloną masą płynną?

Kto pierwszy jest autorem wyrażenia: *„ex nihilo nihil fit!“*?

Co nazwano ślepotą psychiczną, *Seelenblindheit*?

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Pani L. K. we Lwowie. Zdaje się nam, że Chmurka.

P. T. N. w Zakopanem. Może „Świat“ zużytkuje. Dla nas nieodpowiednie. Gotowiśmy zapośredniczyć Sz. Panu.

Pannie Anieli F. Dużo sentymentu, lecz nie wiele myśli. Sonet — w koszu.

P. L. O. Myli się Pan. Jest to po prostu czcza polemika, reklamująca wiadomą osobę.

P. L. Z. Tak łaskawa Pani. I milutki i wykwintny. Zwyczajnie — światowiec.

Nieznajomemu w Rumunii. Bardzo nam przykro, że poznaliśmy się z Sz. Panem, dzięki jego „Burzy“... Nie mieliśmy pojęcia, aby w jednym wierszu można było pomieścić tyle błędów gramatycznych (sic!) i stylistycznych, tyle niżej krytyki rymów i — taki bezmiar bezsensu!...

Musze. „Z nad Newy“ i „Ukraincom“ zdradzają pewien cień talentu, ale my wolimy światła, niż cienie.

Panu Józ. Kr. Tłomaczeń Sz. Pana nie zamieścimy, ponieważ mamy w tece obecnie dłuższy poemat z francuskiego, a nadto tłomaczenia pańskie pozostawiają jeszcze wiele do życzenia pod względem formy.

Panu M. W. Naprzód zwracamy uwagę Sz. Pana, że mówi się: prosząc o umieszczenie ich, a nie je; co do wierszy zaś, to „Źródełko i Jutrzenka“ są bardzo słabe, a sonet: „4 lipca“, jakkolwiek lepszy, nie kwalifikuje się przecież do druku.

*) Wprowadzamy nowy dział do naszego pisma, celem urozmaicenia treści. Materyał tutaj zamieszczony pozwoli czytelnikom spędzić chwil parę na przyjemnem i korzystnem rozwiązywaniu zadanych pytań, które w następnym numerze znajdą właściwe odpowiedzi.

Za Komitet redakcyjny: Józef Bornsztein.

Medal zasługi na Wystawie przemysł.-roln. w Przemyślu.

WYSOWA w GALICYI

ZAKŁAD ZDROJOWO - KĄPIELOWY i ŻĘTYCZNY

w uroczej okolicy.

Stacya kolei Tarnowsko - Leluchowskiej **Grybów**, zkąd w 4 godziny dojeżdża się do miejsca, oraz stacyi kolei państwowej **Gorlice**.

Szczawy alkalowo-słone, jedne z najpierwszych w Europie.

Zdrój słony (szczawa słona jodowo-bromowa - żelazista). **Zdrój Bronisława** (szczawa alkalowo - słono żelazista). **Zdrój Rudolfa** (szczawa jodowo - żelazista). **Zdrój Wandy** (szczawa jodowo - żelazista). **Zdrój Józefa** (szczawa sodowa, żelazo zawierająca).

Najznakomitsi lekarze krajowi i zagraniczni zalecają wody wysowskie w katarach przewodu oddechowego, w chronicznych zapaleniach płuc, w cierpieniach żołądka i kiszek, **w chorobach kobiecych, skrofułach, niedokrewności i blednicy.**

Poczta w miejscu.

Tanie mieszkania i restauracya. Sklepy.

Lekarz zakładowy Dr. J. Bednarski.

Otwarcie pory kąpielowej dnia 1 czerwca.

Zarząd zdrojowo-kąpielowy Wysowa.

Objąłem

ZAKŁAD DENTYSTYCZNY

po ś. p. docencie K. Goeblu

przy placu WW. Świętych, L. 10, pierwsze piętro.

Oddział techniczny zostaje pod kierunkiem p. **Lemparta**, długoletniego zastępcy ś. p. docenta Goebla, w czasie jego słabości. — Ubogich chorych przyjmuje od 8—10 rano. — Operacye wykonuje na żądanie przy znieczuleniu.

Dr. med. JAN STARACHOWICZ, dentysta.

IZYDOR WOHL

we Lwowie, ulica Sykstuska l. 6,

poleca Szan. P. T. Publiczności swój

WYŁĄCZNY SKŁAD

HERBATY

rossyjskiej.

		zł.	ct.
Kaysow	dosk. czarna ½ kilo	1	60
„	„ melange „	1	80
Suszong	wyborna „	2	—
„	najlepsza „	3	—
Melange	karawanowa „	4	—
Fu-czu Fu	Nr. I. „	3	20
	„ II. „	4	60
	„ III. „	6	—
K. & S. Popow	funt 1 rs. 60 kop. . .	2	40
	„ 2 „ — „ . .	3	—
	„ 3 „ 50 „ . .	3	75
Wysiewki	wyborna ½ kilo	1	60
	H prima „	1	80
	non plus ultra „	2	50

Łaskawe zlecenia odwrotną pocztą.

Opakowanie franko, kupcom rabat.

ANTONI ROZMANIT

KRAKÓW

FABRYKA PAROWA

Cykoryi, Surogatów kawy i kawy figowej

w Rakowicach pod Krakowem

nagrodzona dwoma srebrnemi medalami zasługi c. k. ministerstwa handlu i przemysłu.

Wyrabia z produktu surowego własnej plantacyi wszelkie gatunki Cykoryi sztucznej i kawy, odznaczające się bogactwem części pożywnych, tudzież doskonałym smakiem i zapachem.

Fabryka poleca przedewszystkiem:

Surogat Kawy w pudełkach (szufladkach).
Surogat Kawy w szklankach.
Kawę śrutową francuską Rozmanita.
Cykorye krakowską gorzką. 125 3 3
Kawę figową.
Cykoryową Kawę perłową (Nowość!).
Kawę krakowską w skrzyneczkach wyborową.
Kawę żołędziową.

Zalecając wyroby mojej fabryki, przewyższające zaletami wszelkie tego rodzaju produkty zagraniczne, żywię niepłonną nadzieję, że Panie Gospodynie nasze, które otaczają zawsze i wszędzie swem życzliwem poparciem przemysł krajowy, zechcą i tu być pomocnemi w popieraniu i rozpowszechnianiu wytworów moich.

Do nabycia we wszystkich handlach.

Nakładem K. Bartoszewicza

w Krakowie, ul. Szewska L. 15

wyszedł już tom I.

KSIĘGI PAMIĄTKOWEJ

setnej rocznicy ustanowienia Konstytucyi 3go Maja.

Cena grubego tomu (w wielkiej 8-ce, str. 320) **1 złr. 80 cnt.**, (z przedpłatą na tom drugi **3 złr. 20 cnt.**).

127 3 3

Tymże nakładem wyszedł w ozdobnem wydaniu pierwszy zeszyt

ALBUMU

portretów, rycin i widoków

odnoszących się do Konstytucyi 3 Maja.

27 klisz wykonanych w pierwszorzędnym zakładzie Husnika w Pradze.

Cena 80 cnt., z przedpłatą na zeszyt drugi **1 złr. 40 cnt.**

Stacya klimatyczna
Na miejscu apteka

ZAKOPANE

Perła tatrzańska
Poczta i telegraf

Zakład wodoleczniczy dra Chramca otwarty cały rok.

Do końca czerwca ceny zniżone, a to dziennie od 3 złr. 50 ct. począwszy za pokój kompletnie urządzony z pościelą, pożywienie i kąpiele. Goście korzystają **bezpłatnie z zakładów biblioteki, bilardu, fortepianu, czytelni, kręgielni i gimnastyki.**

Z powodu licznego zjazdu gości w sezonie letnim, uprasza administracya zakładu o listowne lub telegraficzne poinformowanie się przed przybyciem, czy pokój na razie jest do dyspozycyi.

Dr. A. Chramiec

dyrektor i właść. Zakładu woleczniczego na Chramcówkach.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**